

## Zadanie 4 J

Funkcje archaizacji, omów temat odwołując się do Potopu Henryka Sienkiewicza oraz innych tekstów literackich.

Przygotuj 10-cio minutową prezentację na powyższy temat.

Otom ci przywiózł, mój klejnocie; komilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

- Honor to dla mnie niemały - odrzekła Billewiczówna - przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnotcie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy uchwyciła się koniuszkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, tręcali jednocześnie pana Kokosińskiego.

- Hajda ! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

- Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...

- Łowczanko - poprawił Kmicic.

- Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziejko! - powtórzył zmieszany pan Jaromir - wybacz waćpanna, jeżeli się w godności pomylił...

- Niewinna to omyłka - odrzekła panna Aleksandra - i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

- Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziejko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wystawiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziejki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i komilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

- A zleże już raz z tych obłoków! - zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił się i rzekł:

- Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszkami palców za suknię.

- Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie - rzekła - ale to wiem, że niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać jako ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli ciągnąć się za wąsy, mrużyć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

- Przyjechaliśmy tu niby kuligiem w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna, a i pogodę Bóg zdarzył mroźną.

- Jużem ja ciotkę Kulwiczównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrzadziła. A teraz maluczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco cieplej przyodzieję.

To rzekłszy zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

- A co, mili barankowie? nie księżna?... A co, Kokoszko? to mnie, mówiesz, osiodłała, a czemu to jako żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

- Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, że się do takiej osoby mówić nie spodziewałem.

- Nieboszчыk podkomorzy - rzekł Kmicic - więcej z nią w Kiejdanach na dworze księcia wojewody albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał niż w domu, i tam to tych górnych manier nabrała. A uroda - co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

- Pokazaliśmy się jak kpy! - rzekł ze złością Ranicki - ale największy kiep Kokosiński!

- O zdrajco! Mnieś to łokciem pchał - trzeba ci było samemu ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!

- Zgodą, barankowie, zgodą! - rzekł Kmicic. - Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

- Ja bym za nią w ogień skoczył! - zawołał Rekuć. - Zetnij, Jędrusiu, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem, kontent był, wąsa pokręcał i triumfalnie na towarzyszywość poglądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

- To tymi saniami pojedziem? - pytała panienska ukazując na srebrzystego niedźwiedzia - jeszcze też słuszniejszych sani w życiu nie widziała.

- Nie wiem, kto tam nimi przedtem jeździł, bo zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli, i bardzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, którzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona Kmity Czarnobylskiego, a ten zaś znów nie był z tego domu, z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

- A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdobył?

- A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules, którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrodziła.

- Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrodzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.

- Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białymi wilkami podszytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę:

„Ruszaj!” - i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zmarłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

- Dobrze waćpannie?

- Dobrze - odrzekła podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały jak wichur. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat podobnych do kup śnieżnych strzelały wysokimi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych z krakaniem donośnym.

O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczła słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona, mdlejąca, nie ma siły się oprzeć ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą - lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

- Miłujeszże mnie?

Otworzyła oczy:

- Jako duszę własną!

- A ja na śmierć i żywot!